

Chmury niczym ciężkie węgle zawisły na atramentowym niebie. Po ciężkim i obfitym w deszcze dniu nawet sklepienie wydawało się wycieńczone. Na tę ciemną plamę, w której ciężko było dostrzec choć jedną, najskromniejszą gwiazdkę zaczął wtaczać się zimny i blady księżyc. Wyjrzał wtem niechętnie zza obłoków i z ogromną łaską przeciął wilgotne powietrze jasnym światłem. Poczul się on niezwykle ważny, widząc, że na ciemnej ulicy jedynie on prowadzi ludzi swym blaskiem. Najwyraźniej dzisiejszego wieczoru równie samolubny latarnik zdał się na pomoc księżycu.

Ulica była bez wątplenia ciemna, a powietrze, jak już wiadomo, ciężkie. Jednakże ludzi nie zniechęcało to do spacerów, wieczornych spotkań oraz wizyt w przytulnej i ciepłej restauracji. O tak, Vin Au'bev było niezwykle urokliwą restauracją. Ściany brązowo-bordowe i białe listwy podłogowe. Parkiet z jasnego, zdrowego drewna. Zewsząd połysk złotych i miedzianych elementów. Oraz jedyna w swoim rodzaju szafa grająca, cichnąca tylko wówczas, kiedy muzyka była grana na żywo.

Wśród pieśni i lepkich stolików przeciskała się z niemałym zapałem szczupła, ubrana w długą, ciemną suknię z koronkami i gorset kobieta. Wyraźnie się śpieszyła, a muzyka, śmiechy i tupnięcia zdawały się nie docierać do jej uszu. Przebiegła pośpiesznie obok baru, nie przystając ni na moment. Chyba zakochana. Jednak za mało szaleńczo, by w owym biegu potrącać stoliki, a takich gorących napaleńców już tu widziano. Lecz ona i za bardzo kochająca, by z cierpliwością stoliki mijać i poświęcić uwagę czarującej atmosferze lokalu.

Już skacze ze schodka na schodek i pnie się ku górze. Opuszkami palców muska delikatnie powierzchnie twardych ścian, a one onieśmiałe czułością nie popuszczą do skóry kobiety ni jednej drzazgi. Skrzypnięcia, jęki i przekąsy starych, zrzędlivych schodów były zbyt znajome, by dokuczyć. Wydają się jednak, że nie z deptania po nich takie te stopnie

niezadowolone były, a z braku możliwości zaprezentowania predyspozycji wokalnych na zabawie, co za dwustronnymi drzwiami się odbywała.

Uradowana, szczęśliwa, niesiona ciepłym oddechem i gotowym na więcej sercem dotarła na stopień ostatni. Otworzyła delikatnie ozięble z samotności drzwi i poczuła, jak z radością jej rumianą twarz powitał zimny powiew powietrza, zaś suknia jeszcze ostatnimi, troskliwymi dotykami pożegnała się z sympatyczną, drewnianą klatką schodową. Kobieta lekko stawiała stopy na mokrym dachu, kiedy to uważnie rozglądała się za ukochanym. Dostrzegła go, na jej licu jak rzadko zarysował się uśmiech ulgi i szczęścia. Prawdę mówiąc, gdyby jej urokliwa duszyczka oczekiwała czegoś odwrotnego, nie pojawiłaby się w tym jakże bliskim jej miejscu. Podeszła bliżej, aż mgła przestała zasłaniać twarz jej wybranka.

Mężczyzna na pierwszy rzut oka miał około trzydziestki. Ubrany na czarno, co dawało sygnał jasnej tajemniczości i elegancji. Panicz dostojny, nie wyglądający jednak na typowego, zadufanego galanta, na jakich zwykle wyczekują panny pod iskrzącymi latarniami. Och, te biedne światełka, które są zmuszone obserwować sprośne zaloty. Nie był też typem pospolitego pijaka, na jakiego żony wyczekują w progach z zupełnie innymi intencjami; tu wałkom też nie zazdrościmy. Co dziwniejsze, żony były kiedyś pannami, na które spoglądało światło, a panny będą niegdyś marzły w progach.

Wracając do kawalera, to sprawiał on wrażenie zbójnickie, jednak męskie i ciepłe. Ciemny płaszcz i ogół odzienia nie zakryły jednak czaru spojrzenia mężczyzny. Jego oczy były nadto ufne, a jednak zwodnicze. Jedno morsko-błękitne, drugie hebanowo-czarne. Rysy twarzy młode, choć delikatne zmarszczki przy oczach ujawniały tyle uśmiechu, jak i bólu. Przebarwienia na twarzy, będące zatartymi pozostałościami po bliznach, znaczyły historię przegranych i wygranych bitew, które niosły ze

sobą jakąś naukę. Nie należy zapomnieć o jego nosie. Był on prosty i zgrabny, nie przypominał kulfona, ni kinola. Tak, właśnie tak wyglądała twarz Fredrico Vanchy.

Jegomość spojrział przenikliwie na kochankę, a ta powolnym krokiem zmierzała wciąż w jego stronę. Wyraźnie hamowała swe namiętności, by nie ruszyć w bieg i nie rzucić się na szyję mężczyźnie. On, jako dżentelmen nie za leniwy, nie omieszkał się, sam postępując parę kroków, zmniejszając odległość między nimi.

- Nie uwierzysz zapewne, ale prawie udało mi się nie zatęsknić za tobą. - podeszła blisko, lecz zachowała jednak dystans, niezbędny do zgrywania niewzruszonej wyczekany spotkaniem.

- Moja droga Ellen, "prawie" to ja mam czterysta lat, a tak naprawdę brakuje mi jeszcze dobre pół wieku. - uśmiechnął się pobłaźliwie i chętnie zabił pozostawioną odległość między nimi, obejmując kobietę. Ona zaś niezmiernie ciesząc się okazaną inicjatywą wpoila delikatnie dłonie w ramiona kochanka.

Samotnicy mogą zazdrościć i życzyć im zimnego deszczu, który zmoczyłyby na nich ostatnią nitkę, jednak ta para pogrążyła się w bardziej błogim stanie niż niezmacone, wieczorne jezioro. I wnet, jakby kto klątwę rzucił lub przeklął tę chwilę, by nie potrwała długo. Pannie raptownie przypomniało się, że przecież ma niezmiernie ważną wiadomość do przekazania. Może mniej ważną od tej, którą wiezie żołnierz dowódcy, ale na pewno bardziej wartościową od tej, którą przekazuje komornik. Mianowicie miała do powiedzenia swojemu towarzyszowi, iż spodziewa się dziecka.

Cały dzień zachodziła w głowę, jak ubrać w słowa tę informację. Czy przystroić ze zdrobnieniem, czy zaskoczyć powagą. Nie znalazła jednak sposobu, który byłby odpowiedni. Dopiero teraz,

kiedy Vancha z utęsknieniem mocniej przytulił jej ciało, postanowiła zaryzykować.

- Fredrico... nie tak mocno, zgnieciesz dziecko. - mruknęła urokliwie.

Przyszły ojciec właśnie napełniał płuca zapachem rubinowych włosów kobiety, kiedy dotarła do niego nowina. Zamarł od zewnątrz, a od środka wypełniło go niezwykle ciepło i podniecenie. Usta niewładnie wyszczerzyły się w szerokim uśmiechu, a serce zabiło jak szalone. Spojrzał z niedowierzaniem w oczach na wybrankę serca i dłoń niepewnie położył na jej brzuchu.

- Tu jest dziecko?

- A spodziewałbyś się go gdzie indziej? - zerknęła na niego, wnikliwie badając reakcje.

- Moje dziecko? – dopytywał, nie będąc w stanie myśleć racjonalnie. Kobietę delikatnie obraziło to pytanie, ponieważ to niezręczne śmiało sugerować, iż zdradziła. Jednakże prędko wybaczyła Fredrico i głową przytaknęła; nie każdy czeka na taką wiadomość blisko czterysta lat. A niewielu z tych, którzy tyle nie czekali, potrafi się radować równie bardzo.

A niech teraz księżyc patrzy, niech samotnika obcość zżera. Gwiazdami otoczony, lecz nigdy nie zazna równie dużo radości. Niech spogląda, niech się zawstydzi trochę, może dostrzeże, jak wiele traci, będąc samolubem. Tylko gwiazdy, małe damy, nie zainteresowane widokiem wesolej pary, niech nie zawracają sobie głowy, nie dla ich oczu sceny miłosne i nie dla uszu rozmowy.

Kiedy już wystarczająco ochłonęli oboje, zaczęli snuć plany. Malownicze horyzonty przed nimi widniały i przyszłość świetlista. Może nie dworek i ogródek, a w nim bawiący się

chłopiec, ale chociażby kamieniczka. Słońce czerwona cegłę ich gniazdko grzeje, jednak bądźby realistami. Słońce wiecznie nie świeci, a księżyc chowa się za chmurami i mrok znów znajomy.

Ellen spojrzała na Vanchę z powagą, chociaż nie mniej radosna:

- Pomyśl, proszę, ja tutaj nie urodzę. Musielibyśmy wyjechać do mojego rodzinnego miasta, gdzie mój dom.

- Nie miałbym nic przeciwko, gdyby nie fakt, że to twoje rodzinne miasto, a wraz z tym wiąże się spotkanie twojej rodziny. Nie byłoby zachwyceni...

- Myślę o twoim wojsku. Tych ludzi musi ktoś poprowadzić na front, przecież wiesz, że wojna zbliża się większymi krokami niż dziecko. - spojrzała pobłażliwie na człowieka, którego wciąż nie opuszczał entuzjazm.

- Poradzą sobie beze mnie. Ja teraz jak widać mam ważniejsze sprawy. Zostanę ojcem, a to nie błahostka.

Kobieta uśmiechnęła się lekko. Chciała coś wyraźnie powiedzieć, lecz nim zdążyła usta otworzyć, od strony głównej bramy rozległ się dźwięk rogu. Znała dobrze ten odgłos, to była ta chwila, kiedy Fredrico musiał wracać do swoich ludzi, ponieważ sprawa nie cierpiała zwłoki. Zrezygnowała z żalem i spuściła głowę.

- Nie zamartwiaj się. Pójdę i powiem, że zostaję z tobą. - chwycił delikatnie podbródek kochanki i sam uniósł go ku swojej twarzy.

- Ja pragnę tylko byś był, nie chcę zostać sama. - łza spłynęła po jej policzku, a to wstrząsnęło Vanchą. Objął w dłonie jej twarz i obdarował spokojem, którego teraz szukała w jego oczach.

- Nie zostaniesz, będę z tobą.

Mężczyzna złożył na jej ustach pożegnalny pocałunek, gdy róg znów wybrzmiał. Sygnał zdawał się być teraz o wiele

gwałtowniejszy i jakby zniecierpliwiony, a nawet zdenerwowany, niczym marznąca kobieta w proggu.

Otulili się nadzieją, tak samo mocno jak ramionami. Darzyli się uczuciem tak wielkim, jak okrucieństwo wojny ; nie chcieli się rozstawać, niczym dwa skrzydła jednego anioła. Jednak Fredrico musiał wypuścić Ellen z objęcia, pozostawiając już w tej samej chwili w niej tęsknotę.

- Czekaj, proszę, na mnie w najbliższy dzień poprzedzający pełnię o szesnastej, gotowa do podróży. – skradł jej jeszcze jeden pocałunek, zwykły, skromny, taki jaki miał zamiar składać jej co dzień, nie martwiąc się, że zabraknie dni. Zostawił na jej policzku ciepły dotyk i podszedł do skraju dachu.

- Dobrze wiesz, będę czekała. Obiecuj, że przyjdiesz. - spoglądała na niego już tęskniącym wzrokiem, jakby przed chwilą wcale nie trzymał jej w ramionach.

- Obiecuję. Kocham. – uśmiechnął się, a w geście tym zawarł więcej uczucia, niż mógłby do końca życia w milionach wyznań, po czym wprost zniknął.

- Kocham. - rzekła po chwili, a jej słowa poniósł już tylko zimny wiatr w pogoń za znikającym Vanchą.

×

W ten czas nad zachodnią zatoką zerwał się zuchwały wiatr. Widocznie łaskawy los uległ bezczelnym prośbą dwóch nieudolnych rybaków, którzy jakoby wyzywając na pojedynek naturę, życzyli sobie wiatru w żagle. A natura, złościca przekorna, suknią zamąciła, fale obudziła i powiew arogancki zagnała w morze. Ten zaś, nie taktowny panicz, miast w samo morze galopować, zapędził się do lasu, który nieopodal wyrósł przed laty.

A w lesie tym, co Rudym go zwał, pustka i cisza. Zwierząt mało, a jeśli są, to śpią. Tylko dwie osobki, co we włosach białe kłosa mają, wyglądały na dość niepodatne na porę senną. One, te osobki, niecierpliwie wyczekiwały bliskiego przyjaciela, a gdy się czeka, nie dobrze jest usypiać. Nikogo nie oczekiwali zaś gadziny im towarzyszące. Dwa wielkie paszczury, każda wielkości rosnącego ogiera. Łuskowate pyski były wyraźnie obfite w rzędkie małych, ostrych ząbków, oraz oczy - skośnie i małe ślepką, świdrujące wszystko, co do milimetra. Wierzchowce tylko kolorem się od siebie różniły, jeden miedziany, jakby kiedyś mosiądzem skropiony, natomiast drugi zielony jak trawa, w której z pewnością się nieraz tarzał. Te okazy miały w sobie coś dziwnie urodziwego, prócz dumy i elegancji jaką posiadają wszystkie wywerny, rzecz jasna. Posiadały grację i szczyciły się pewną cichą szlachetnością. Takich mocnych pazurów i błyszczących skrzydeł pozazdrościł by nawet nasz księżyc, który właśnie je dojrzał i musnął dotykem. Zachwyił się nieskromnie, a przecież z bliższej odległości wiele już skrzydeł i szponów widział.

Teraz również dostrzega, nasz mało bystry miesiąc, kątem oka spogląda i widzi, jak w dali leci opierzony wierzchowiec. Chrapami ruszał równo i prędko, by zniwelować swój wysięk, jaki wkłada w transport swojego pana. Księżyc, spostrzegawczy jak zwykły, dopiero po chwili wychwyił wzrokiem obiekt na plechach wywerny. Ledwie co widoczny Vancha wychylił się z za grzbietu wiernego ogiera, by wypatrzeć cierpliwych przyjaciół. Cierpliwość uszlachetnia, jednak prowadzi do powolnej irytacji.

Oni, kiedy już go dostrzeli, powitali go serdecznymi spojrzeniami. Jednakże i w tych uprzejmych zerknięciach kryła się doza pośpiechu i obawy, z pewnością niespowodowana jedynie czasem oczekiwania. Fredrico zanim jeszcze wylądował westchnął głęboko, aż jego płuca całe wypełniły się zimnym powietrzem. Nie chciał pozostawiać druhów, ale tym bardziej nie zamierzał pozostawić kobiety.

Gdy stopami dotknął zimnej i mokrej ziemi, odsunął się od swej dostojnej gadziny, a ta otrzepała łuski z nadmiaru zmarłych owadów. Należałoby na siodle wygrawerować takie o to hasło: "Pół miliona za jednym przelotem". Wtedy szarobury gad mógłby się chwalić ilością poległych z jego skrzydeł i paszczy. Vancha podszedł pewnie z powracającą radością do kompanów, niósł przecież szczęśliwą nowinę.

- Cieszę się, że raczyliście na mnie czekać, jednak... nie wracam z wami, panowie. – rzekł, spoglądając na przyjaciela oraz przyjaciółkę, która wyglądała na mniej zadowoloną z przedstawionego żartu.

Jednak oboje, kobieta i mężczyzna spojrzeli po sobie zdziwieni, niczym surykatki. Blondwłosa niebawem odwróciła wzrok na Vanchę i rzekła z niemałym przekonaniem oraz powagą:

-...To raczej nie jest miejsce na żarty. Straż niedługo przyjdzie na tę część granicy, streszczaj się i wchodź do środka. Dobrze wiesz, że nie mamy czasu. – Snataa gestem zaprosiła towarzysza do doskonale skrytego, podziemnego tunelu, który teraz wyraźnie znajdował się za jej nogami.

Owiał ich chłód i podmuch morskiego wiatru, również nadesłany przez błyskotliwą naturę, by nocnym markom przypomnieć o czasie snu. Przeczesał wszystkim włosy, jakby chciał ich otulić. Tym samym ujawnił nornijskie, białe pasmo włosów samego Vanchy. Fredrico zagniewał się delikatnie, jednak nie o sprawę włosów tu chodzi, a o brak zrozumienia i zniewagę ze strony przyjaciółki. Zmierzył wzrokiem oboje towarzyszy, równo pannę jak i mężczyznę. Zamyślił się, po chwili zrozumiał jednak, że muszą sobie poradzić sami.

- Teraz to wy nie macie czasu. Zrozumcie, że nie mogę wrócić, ja...

- Znowu chodzi o tę kobietę? - przerwał towarzysz, Moskiva, który do teraz milczał powściągliwie.

Zapadła głucha cisza. Tylko świerszcz, dzięcioł i ciekawska wrona nie byli w stanie potraktować ją jako poważną chwilę napięcia. Vancha błąkał wzrokiem dookoła, zbity z tropu. Dostrzegł nawet rzekomą wronę, która teraz mu się przyglądała z zaciekawieniem. Snataa założyła ręce na biodra i lekko poirytowana przewróciła oczami. Poczwała jednocześnie cichą zazdrość, ta dama w końcu nigdy za nikim tak nie szalała jak Fredrico za tą kobietą. Moskiva spoglądając po nich zatrzymał wreszcie swój politowany wzrok na przyszłym ojcu, czego jeszcze nie był świadomy.

- Fredrico, błagam cię. Wiem, że jest dla ciebie ważna, ale nie powinna przewyższać sobą miliona ludzi, za których jesteś odpowiedzialny. – westchnął ze zmęczeniem. To był najmniej odpowiedni moment na rozterki sercowe jego przyjaciela.

- Jest mi bliska.

- Oni też! Takich kobiet jest na pę..czki... - powstrzymał się, by nie krzyknąć. Nie obawiał się zbudzenia zbójników, czy rozwścieczenia wiatru, ani obrażenia podsłuchującej wrony. Po prostu nie chciał krzyżeć na przyjaciela, zakochanego przyjaciela. Na sam koniec zakłopotał się, dostrzegając obdarowane przez owego przyjaciela, mordercze spojrzenie. Nie pozwoliłby obrazić swojej miłości, ani nawet jej znieważyc podważając fakt, iż jest wyjątkowa. W cudownych oczach Vanchy, w których zapewne jako pierwszych zakochała się Ellen, teraz było widać gniew i niewyrażony żal, jakiego doświadczał od środka.

- I jeden i drugi z was źle postąpił. Nie możemy przejść na kompromis, chyba o tym wiecie, prawda? – zmierzyła ich kolejno, a oni na dźwięk słów zmętnieli. Zastanowiła się chwilę, czy to naprawdę przez jej głos, czy tylko słowa wzbudziły w

mężczyznach taką dezorientację:

-... prawda?... chłopaki?

Spoglądając na nich z coraz większą bezradnością położyła smukłą dłoń na ramieniu Vanchy. Zrozumiała jego smutek i szczerze chciałaby go współodczuwać, gdyby nie jej nikła empatyczność. Oczy jej napełniły się spokojem. Rozluźniła ramiona, postanawiając ofiarować je odpoczynkiem od napięcia chwili, w której była cisza i napawała się bezpieczeństwem w towarzystwie znajomych twarzy. Moskiva spuścił zrezygowany głowę nie wierząc, iż zdołał przekonać zakochanego do porzucenia części miłości na jakiś czas.

Nagle rozległ się stukot kopyt. Pierwsze zorientowały się wywerny, skupiając się na tyle blisko siebie, jakoby chciały stworzyć jedną, trzygłową bestię. O tak, trzygłowa byłaby zdecydowanie bardziej straszniejsza od trzech wystraszonych gadzin. Zaraz między drzewami mignęła biała poświata, lecz to nie był dowcipny księżyc, a żarząca się pochodnia, ostro ciskająca światłem w teren.

- Teraz nie ma na to czasu! - zakrzyknął nie za głośno Moskiva i na raz wskoczył do tunelu. Snataa też nie zamierzała zwlekać i w takiej chwili dłużej rozczulać się nad kompanem. Złapała go ściśle za nadgarstek i pociągnęła w stronę dziury. Tuż przy przejściu ziemia osunęła jej się spod nóg i wpadła niezgrabnie do środka, pociągając za sobą Vanchę. Nie czekali ni minuty, a u wylotu z tunelu pojawiły się wywerny. Wskakiwały do znajomej im jaskini, jedna po drugiej, aż księżyc nie był w stanie dosięgnąć żadnego z obcych przybyszów.

×

Ellen westchnęła głęboko, po czym napawała się aromatem miętowego naparu, wspominając jak jeszcze przed sekundą ciepła filiżanka muskała jej rumiane usta. Poprawiła się w fotelu koło okna i okryła wełnianym kocem, chowając pod niego

kościste nogi. Spoglądała na ludzi młodych i zdrowych, którzy w parach wesoło gnają pod drewniane drzwi Vin Au'bev. Nie była to ta sama knajpa, w której poznała swoją miłość i nie była w tym miejscu, do którego tak często chciała wrócić, ale właśnie ten lokal, chociaż z jej ulubionym Vin Au'bev miał wspólną tylko nazwę i właściciela, to ucieszyła się z namiastki wspomnień. Uśmiechnęła się lekko do siebie i zamykając zmęczone oczy, odchyliła głowę na oparcie fotela. Drżącą ręką przeczesła swe siwe włosy, niegdyś mieniające się rubinowym blaskiem. Dotknęła swojej pomarszczonej twarzy i poczuła, jak policzek staje się mokry. Popłynęła z niej tęsknota, która była jej tak znana, że Ellen witała ją w sercu jak dobrą przyjaciółkę, z uśmiechem. Zachłysnęła się powietrzem i załkała głośnie, aż jej usta wygięły się w geście niemego żalu. Była u schyłku swoich dni i cierpiała, wiedząc, że jej marzenie się nie ziści.

W tym cichym bólu dosłyszała głosy z salonu, a była przekonana, że jest w domu sama. Ściany przecież słyszą, ale nie mówią. Otarła szybko twarz płócienną chustką i powoli wstała, podpierając się swoją dobrą towarzyszką. Na stopy wsunęła ciepłe kapcie, ostatnio często doskwierał jej chłód, więc zdecydowała się też, by nie uciekać spod ciepła koca, był jej dobrym kompanem. Gdy jest się tak długo samotnemu, zaczyna się zaprzyjaźniać z przedmiotami. Zagarnęła filiżankę herbaty i bez większego zaangażowania ruszyła do salonu.

Zachodząc do rogu pokoju dziennego spostrzegła w słabej poświacie lampy naftowej swego syna, a naprzeciwko niego męża, który wciąż przybliżał do siebie świecę.

- Myślałam, że już śpicie. – wymamrotała i ruszyła w stronę jedyńca. Rzeczywiście, nigdy nie pozwalała sobie na odpoczynek, kiedy jej jedyne dziecko przebywało w domu nie drzemiąc, a tym bardziej gdy rozmawiał z mężczyzną, który miał się za jego ojca. Poczowała niepokój oraz rosnące napięcie, spowodowane najwyraźniej wzburzoną głową rodziny. Przyjrzała

się jednak synowi, zamiast spojrzeć na męża, gdy zmierzała w jego stronę, i z trudem powstrzymywała łzy, dostrzegając jedno oko turkusowe, drugie zaś czarne.

- Widzisz mamó, ojciec znów zapomniał przeczytać gazety, a zapragnął to zrobić właśnie teraz. - odezwał się dojrzały mężczyzna, po czym skierował wzrok na starca przy gazecie. Zamąciła mu jednak w głowie woń naparu, który matka postawiła właśnie przed nim i przysiadła. Miał w zwyczajach wyraźnie ukazywać swoją niechęć do alkoholu, i choć przy poczęstunkach starał się prezentować to z jak najwyższą kulturą, to i tak zmuszany był do skosztowania nieprzyjemnych dla swojej świadomości płynów. Zdecydowanie preferował własny wybór i cieszył się, gdy matka raczyła obdarować go jakimkolwiek naparem, pozbawionego gorzkiego, ostrego smaku procentów. Z tego też powodu uwielbiał bywać w towarzystwie staruszki. Choć po chorobie alkoholowej ojca można było spodziewać się z jego strony litrów życiodajnych dla pijaństwa trunków, to matula zawsze miała pod ręką wręcz rajski zestaw herbat. Różnooki zastanawiał się, czy kobieta z przypadku nie zakupuje naparów wyłącznie dla niego, chociażby z troski o jego słabą głowę. Z zamyślenia wyrwało go nagłe zadrżenie stołu, w który staruszek właśnie uderzył pięścią.

- Henry, proszę cię, bez takich ekscytacji. - Ellen mruknęła ze złością, spoglądając na mężczyznę, z którym mimo wszystko nie chciała mieć nic wspólnego.

- Wszystko ten choleryny Vancha! - zakrzyknął i rzucił gazetą, po czym odwrócił wzrok za okno. Kawaler zerkając na ojca podniósł filiżankę i zbliżył ją do ust. Był pewien, że jak zostawi ją na stole chwilę dłużej, to niebawem od tych uderzeń nie zostanie dla niego ni kropla herbaty.

Kobieta zaś gniewnie oburzyła się na małżonka. Zacisnęła długie, zmęczone i obolałe palce na wysłużonej spódnicy, którą miała sposobność nosić.

- Co ty znów pleciesz, stary głupcze? Przecież Fredrico nie żyje. - warknęła swoim ciekim głosem, który ze względu na wiek, w tej okolicy nie zabrzmiał ni trochę przyjemnie.

Młodszy mężczyzna odłożył filiżankę, gdy tylko ciepło napoju rozeszło się po całym jego ciele, a następnie spojrzał na matkę.

- Żyje i ma się dobrze od czterystu lat.

Ellen spojrzała z bezradnością na syna, ale jakby podniesiona na duchu. Ten nie zawahał się wraz kontynuować:

- Sam widziałem, w naszym miasteczku.

Wtem kobieta jak natchniona od nowa, jak dotknięta życiem wstała na równe nogi. Koc zsunął jej się z ramion, a dobra towarzysza z hukiem rąbnęła na ziemię. Staruszka, zwawiej niż kiedykolwiek ruszyła w stronę sypialni. Zapomniała nawet zasunąć kapci, a to dlatego, że momentalnie przestał doskwierać jej chłód. Kawaler poderwał się, by sięgnąć laskę matki.

- Mamo... weź.

- Nie potrzebuję teraz tego badyla! – oznajmiła głośno i zniknęła za drzwiami pokoju dziennego, pozostawiając zdumionych mężczyzn, którzy tylko wymienili między sobą spojrzenia.

Kobieta zaś w sypialni zaczęła się stroić jak nigdy. Właśnie na taką okazję zatrzymała i odszukała na końcu szafy długą, ciemną suknię z koronkami i gorset. Odziała strój, po czym okazało się, że jest za duży, jednak tylko w tej sukience, choć miała wiele innych, urokliwych sukienek, czuła się piękna. Następnie wypachniła się swoimi najlepszymi perfumami o zapachu lawendy, takimi, jakimi zwykła pachnieć za młodości. Suknia

również ten zapach poznała, bo wnet znów zaczęła się stosownie układać. Kiedy Ellen spięła włosy w kok, spojrzała w lustro i pomyślała, że nie może wyglądać piękniej.

- Mój miły, nie wróciłeś, zapomniałeś? Nie... nie potrafiłbyś, czyli umarłeś. - rzekła po cichu. A jednak teraz znów odzyskała nadzieję. Była szczęśliwa. Nalała sobie lampkę wina, którego nie zwykła pić, od czasu zajścia w ciążę, po czym przychyliła do ust i skosztowała. Wpatrywała się w siebie przed lustrem i podobała się sama sobie. Uśmiechała się, a nie odważyła się tego robić, odkąd urodziła dziecko. Z serca wygnała tęsknotę. A z głowy wygoniła obawę. Ostatni raz na dachu wyczekiwała cztery lata temu, kiedy miała jeszcze siłę wejść po schodach.

Wstała pewnie. Strąciła dłonią swoje lekarstwa, a te bezceremonialnie wpadły do kosza. Naciągnęła swój stary, wysłużony płaszcz. Ten również był za duży, szczególnie w ramionach i rękawach. Wyszła z pokoju, wystrojona i szczęśliwa. Podążyła do drzwi i przyklękła przy szafce na buty. Jej również ulżyła, wyciągając najstarszą parę pantofli.

- Mamo, gdzie wychodzisz? - młodzieniec wyjrzał z salonu, wyraźnie zszokowany zachowaniem matki. Nigdy nie była tak podekscytowana.

- Nie przejmuj się kochanie. - podeszła do niego pewnie i energicznie. - Nie czekaj już na mnie z kolacją.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - uniósł gęste brwi ku górze, w geście zaskoczenia. Nigdy nie spodziewał się zobaczyć staruszki z takimi siłami do życia.

- Kocham cię synku. - przytuliła go tak mocno jak tylko potrafiła, a on nie omieszkał odwzajemnić gestu miłości. Zakłopotał się, jednak był w zbyt wielkim szoku, by działać. Zanim się obejrzał kobieta zamykała za sobą drzwi od domu, z którym nic ją nie łączyło. Nie dzieliła łóżka z mężem, nie dzieliła nawet z nim

nazwiska, postanawiając zostać przy swoim. Nie miała po co wracać.

Na dworze nie było za ciepło, niedawno padało, a lampy paliły się, jakby je kto miał karać kiedy zgasną, ale nie nagradzać za oświetlanie drogi. Księżyc tym razem nie wyszedł, wstydził się aż nad to.

Nie miała tyle sił co kiedyś i nie mogła lekko mknąć. Choć dalej niesiona miłością i wizją spotkania, każdy krawężnik i dołek czynił dla niej nie lada problem. Szła więc powoli, bez drewnianej przyjaciółki i bez ciepłego koca, który by ją chronił przed zimnem. Kroczyła dumnie, jakby wcale nie ciążyła jej choroba i jakby nie męczyła jej starość. Dążyła do miłości, którą dawno już myślała, że utraciła. Do Vin Au'bev wpadła jak natchniona, lecz tym razem zważała na wszystko. Pragnęła czerpać tę chwilę w całości. Starła się zapamiętać utwór, zapach, kolory, które ją otaczały. Jak bardzo było jej ciepło i jak bardzo czuła się młoda. Zapłakała. Łzy popłynęły z poczuciem, że jej lata młodości nie wrócą i nie wróci nic co kochała, jedyną nadzieją był kochanek.

Stała przed schodami. Nie przestraszyła się wysokości do pokonania, lecz cieszyła się, że może znów przemierzyć te stopnie, idąc na spotkanie. Była szczęśliwa. Skakała ze schodka na schodek, i choć płuca wyraźnie się temu sprzeciwiały, jej serce czuło się jak oblane miodem. Muskała dłońią ściany oraz poręcze, by jak najlepiej zapamiętać dotyk drewna. Jej włosy zmysłowo falowały, a sukienka sunęła po stopniach za nią.

Stała przed drzwiami i wtem zwątpiła. Serce rozdarło się boleśnie, a jej umysł skarcił staruszkę za nadzieję. Ze łzami w oczach pchnęła drzwi, a one mimo swej arogancji ustąpiły posłusznie, dostrzegając potrzebę, jaką niosła ze sobą kobieta. Stawiając pierwsze kroki, rozejrzała się niecierpliwie, a zwodziona przez promienie nocnego słońca, naiwnie uosabiała zwykłe przedmioty, ślepo próbując dostrzec w nich zerwane więzi

miłości. Zadufany w swoim pięknie miesiąc, poczuwając się do niezbędnej odpowiedzialności, za ledwie leniwym muśnięciem poświaty ukazał smukłą, wpisaną w elegancję posturę mężczyzny.

Bijąca od kawalera żałość, stopniowo przygasła w chwili, w której dostrzegł staruszkę. Vancha spojrział na nią równie szczęśliwy, jednak na jego twarz momentalnie wkradł się wyraz smutku. Zaś ten, odczuwając swoją zbędność, zniknął tak szybko, jak ośmielił się pojawić. Jego twarz się nie zmieniła, wciąż był trzydziestoletnim młodzieńcem, lecz staruszka nie poczuła się z tym źle. Czekala całe życie na tę chwilę i nie zamierzała rezygnować. Wkroczyła na dach i zaraz spotkały ją ramiona kochanka, jego czuły pocałunek, złożony na siwych włosach kobiety.

- Przepraszam, tak bardzo przepraszam. - wycedził smutno.

- Wiesz... prawie udało mi się nie zatęsknić. - uściskała go mocno, jednak zaraz jej ciało odmówiło posłuszeństwa i osunęła się na ziemię jak szmaciana lalka. Vancha mimo starań nie był w stanie utrzymać ukochanej, więc pozwolił jej wygodnie położyć się na jego kolanach.

- Błagam, nie każ mnie tak! - zapłakał żałośnie, złożył kolejny pocałunek na jej czole i pożałował każdej podjętej decyzji przez te pięćdziesiąt lat, która opóźniła jego spotkanie z ukochaną.

Ona zaś uśmiechnęła się, patrząc głęboko w jego oczy, po czym zbliżyła się do niego i lekko musnęła w usta.

- O tym marzyłam, mój drogi. Marzyłam, by móc cię znów zobaczyć, zanim umrę. Bo, widzisz, chwila, w której mogę umierać przy tobie jest tą, w której warto żyć.

Fredrico przytulił ją mocniej, a jego klatka piersiowa odczuła ból, niezrównany z żadną inną raną.

- Spotkaj się, proszę, z naszym synem. - dodała z uśmiechem i zakasłała.

- Obiecuję. Jak go nazwałaś?

Kobieta wyciągnęła drżącą dłoń w jego stronę i objęła jego policzek.

- Federico.

Vancha załkał cicho, ułożył policzek na głowie Ellen, po czym starał się zdusić w sobie krzyk rozpacz, rozdzierający jego płuca. Uświadomił sobie jak bardzo zniszczył życie młodej dziewczynie, która tliła się teraz w swym osiemdziesięcioletnim życiu. Ona jednak wciąż się uśmiechała, spełniła marzenie. Wtuliła głowę w pierś kochanka, potem poczuła łzy Fredrico, spływające po jej białych włosach.

- Przepraszam, że zwątpiłam. Kocham. - zacisnęła dłoń, a ta chwilę później bezwładnie opadła. Życiodajny tlen opuścił jej ciało. Ze szklistych oczu kobiety uciekło życie, uciekła emocja, trwała została jednak miłość. Na twarzy zaś pozostał uśmiech, jedyny szczery wyraz radości, który od tak dawna nie zagościł na jej licu. Vancha wiedział, widział śmierć w jej oczach, już kiedy weszła na dach.

- Kocham. – rzekł, wtulając w siebie uciekające już życie kobiety. Dostrzegł on prawdę w swoim życiu, mówiącą, iż jego przeznaczeniem jest pozostać z taką samą samotnością, jaką zdolną było dotychczas doświadczać serce nocnego nieba.

Autor:
Natalia Strąkiewicz
Robert Kiliński